



**ADRIANNA
BIEŁOWIEC**

MEZOPPIDUM

**GANIS
MAJORIS**

MEZOPPIDUM

ADRIANNA BIEŁOWIEC

Copyright © Adrianna Bielowiec, 2024
Copyright © Wydawnictwo Canis Majoris, Szczecin 2024

ISBN
978-83-969814-2-4 (druk)
978-83-962197-7-0 (e-book)

Wydanie I

Projekt okładki
Adrianna Bielowiec

Ilustracje na okładce
Felix Mittermeier, Tran Thang Nhat, Parker West, Jerzy Górecki,
Noel Bauza, zdjęcia autorskie

Ilustracje w książce
Kitti Kahotong, Mdherren, zdjęcia autorskie z parków dinozaurów,
rysunki autorskie i ilustracje stockowe oraz z Pixabaya obrobione
techniką kolażu programami Photoshop, Gimp, Artbreeder, Canva

Redakcja i korekta
Rafał Wojciechowski

Druga korekta
Andrea Smolarz

Redakcja techniczna
Paweł Prusinowski

Typografia
E. Raj

facebook.com/zodiacuniversum
facebook.com/wydawnictwocanismajoris
wydawnictwohm.pl

Większość informacji dotyczących flory, fauny, atmosfery i geologii opisywanego regionu, z czasów końca kredy, jest zgodna z obecnym (2024) stanem wiedzy. Fikcja literacka została dodana na potrzeby fabuły. Za przykład może posłużyć reakcja organizmu ludzkiego na chemiczne, prehistoryczne parametry czy obecność skalistego pasa wokół Ziemi na wzór pierścieni Saturna (choć istnieje prawdopodobieństwo, że taki pas mógł istnieć jako pokłósie katastrofy kosmicznej). Odnośnie do wieloguzkowców kredowych i ich laktacji – rozwój młodych mógł przypominać ten występujący u obecnych torbaczy, na co wskazują znalezione skamieniałości miednicy *multituberculata*; matka mogła zatem także karmić młode mlekiem.

Pierwotnie historia miała być krótka, maksymalnie do osiemdziesięciu stron, napisana prostym, wręcz szkolnym językiem. Dość zwariowana i celowo niepoważna, bo nawiązująca do podgatunku fantastyki zwanej za granicą *dinosaur erotica*, którą w Polsce można określić po prostu dinoerotyką. Skończyło się jednak, w trakcie gromadzenia informacji, na niesamowitej podróży, równie ekscytującej co wyprawa głównej bohaterki, przez dziedziny nauk przyrodniczych, czego nie omieszkalam wykorzystać w historii. Czytałam ciekawe publikacje polecane przez ekspertów, wymieniałam korespondencję ze znawcami dinozaurów. Sięgnęłam też do własnych książek o tych wspaniałych zwierzętach, nowszych i starszych wydań, z których pisałam kiedyś pracę naukową (tytuł jednej z nich znajdziesz w tekście). Powieść zaczęła prowadzić się sama i co rusz schodziła na takie dziedziny wiedzy jak anatomia zwierząt, taksonomia, paradoks czasowy, nawet fizyka kwantowa (zagadnienia z entropii – jazda bez trzymanki, nie polecam). Finalnie wyszła historia przygodowa, w której wykorzystałam wycięty z innej powieści, szalony, pełen absurdu fragment niepasujący do pierwowzoru.

Pozostaje mi życzyć Ci, Czytelniku, dobrej zabawy w świecie niezwykłych gadów o nieśmiertelnej popularności!

Adrianna Bielowiec

Podziękowania za pomoc w kwestiach naukowych (zarówno konsultacje, jak i dostarczenie materiałów) składam Maciejowi Ziolo, Karolowi Ligeckiemu oraz Krzysztofowi Poznańskiemu.

Wszystkie błędy są moje.

Na jednej planecie może rozwinąć się tylko jedna inteligencja.

Reguła ewolucyjna opisana przez Tarborian współczesnych.

4. Gdy król staje się zwierzyną

Nowatorska podróż w przeszłość absolutnie nie przypomina lotów samolotami. W przypadku tych ostatnich rozbijał się średnio jeden na miliony kursów, częściej z powodu winy człowieka niż wady technicznej, co czyniło statystycznie tego rodzaju podróżowanie wysoce bezpiecznym. Zaawansowany sprzęt z INT cofnięto w przeszłość dopiero kilkadziesiąt razy, w tym dwie próby okazały się nieudane. A teraz doszło do trzeciej awarii, matematycznie jak najbardziej możliwej. Przemieszczanie się w ten sposób nadal było obarczone wysokim stopniem ryzyka. Zapewnienie pasażerki, że wszystko będzie dobrze, stanowiło naturalnie kiepską zagrywkę psychologiczną ze strony pracowników placówki. Doskonale wiedziały o tym obie strony.

Pochylony ostro w prawo *Archimedes* w jednej trzeciej znajdował się w skale osadowej bądź piaskowcu, jakby od milionów lat stanowił jej integralną część. Alicja mogła dotykać po lewej stronie twardą, chropawą powierzchnię; na opuszkach pozostawały widoczne przy oświetleniu konsoli rdzawe ślady, mogące świadczyć o obecności w ścianie tlenków żelaza. W osłonie kuli ziajała natomiast okropna dziura okolona pęknięciami; służące do jej załatania materiały niestety też utknęły za skałą. *Archimedes* był odporny na uszkodzenia, ale czysto mechaniczne, wynikające z kontaktu z obiektami o różnych właściwościach, jak pień, lawa czy powierzchnia wody – do których nie powinno praktycznie dojść ze względu na precyzyjne, wielokrotne wyliczenia matematyczne, dotyczące miejsca lądowania. Zadziałał tu jednak czynnik ze zbioru „praktycznie”, dlatego całkowicie pomijalny – integracja z obcą geometrią o ogromnej gęstości.

Mimo wszystko musiało coś ostro nawalić w obliczeniach, przeszło przez myśl zestresowanej dziewczynie. Teren wokół nie ulegał zbyt dużym zmianom, algorytmy wybrały bowiem bardzo stabilny obszar, gdzie nie miały prawa zajść czynniki destabilizujące pokroju powodzi, nadmiernej erozji czy trzęsienia ziemi. Sieci neuronowe wzięły nawet pod uwagę takie przypadki jak narastanie masy skalnej z powodu rzadkich uderzeń meteoroidów. Zgodnie z założeniem naukowców *Archimedes* powinien stacjonować właśnie na półce skalnej, pięć metrów bardziej na południe po linii prostej. A może jednak zaszła nieprzewidywalna zmiana we włóknie grawitacyjnym, w którym działały przecież na wehikuł przeogromne siły z różnych stron? Mogło na przykład dojść między Marsem a Jowiszem do zderzenia dwóch wielkich asteroid pasa, co już powodowało fluktuacje energetyczne i grawitacyjne na pół roku świetlnego, niewyczuwalne dla człowieka, ale dla *Archimedes* już tak. Jednak równie dobrze dwadzieścia lat przed wylądowaniem Alicji mogła oderwać się skała z tej góry, co już zaburzało statyczność zmapowanego przez algorytmy terenu. Takich scenariuszy mogły być przecież miliardy! Sieci neuronowe stworzył w końcu człowiek, a człowiek nie potrafił wszystkiego przewidzieć.

Dziewczyna zaczęła wykonywać cykliczne, głębokie oddechy, aby się uspokoić. Po kilku minutach odzyskała równowagę.

No trudno, stało się. Teraz należało wziąć pod uwagę dostępne możliwości i wybrać tę optymalną. Chociaż pierwsze, na co Leszczyńska miała przeogromną ochotę, to gapienie się na cuda przyrodnicze za osłoną, zdiagnozowała najpierw całego *Archimedes* zgodnie z procedurą. Poza tym, że został unieruchomiony na dobre i próba wyrwania go ze skały – gdyby znalazła się na tyle przeogromna siła, aby stało się to realne – zakończyłaby się jego rozerwaniem, uszkodzeniu uległa jedynie zewnętrzna osłona... i klimatyzacja. Obieg powietrza

w kabinie nie mógł być już dogodny dla ludzkich płuc, nawet jeśli do wytworzenia odpowiedniej mieszanki aparatura wykorzystywała zewnętrzne gazy atmosferyczne. Tlenu w okolicy było bardzo mało, bo ledwo jedenaście procent, azotu osiemdziesiąt, za to dwutlenku węgla urządzenia wykryły kilkukrotnie więcej niż w dwudziestym pierwszym wieku. Analizator wskazał również sporo trujących związków chemicznych uwolnionych do atmosfery na skutek wulkanizmu czy innych procesów geologicznych.

- Szlag by to! - Tak oto zabrzmiały pierwsze słowa wypowiedziane przez człowieka w mezozoiku. Zdarzenie mogło konkurować ważnością i przełomem z krokami postawionymi na Księżycu przez Neila Armstronga, tyle że w tym przypadku brakowało globalnej widowni.

Dziewczyna zaczęła rozglądać się po otoczeniu przez uszkodzoną osłonę - i chwilowo zapomniała o skutkach lądowania, totalnie oszołomiona. Nadaremnie wcześniej uspokoiła tętno i oddech.

Na bezchmurnym nocnym niebie, przetkanym kolorowymi wstęgami przebijającymi się z wyższych warstw atmosfery, przywitał ją dobrze znany Księżyc w pełni - jego młodsza wersja: ogromna, złowieszcza i niesłychanie jasna. Ale bardziej niezwykle prezentował się towarzyszący mu, rozciągnięty od wschodu do zachodu nieboskłonu... skalisty pierścień! Trudno było oszacować odległość nieforemnych skał od powierzchni Ziemi. Mogły znajdować się równie dobrze na wysokości dryfowania stacji kosmicznej, jak i krążyć na orbicie razem z Księżycem, jako pozostałości po innym rozwalonym satelicie, może rozbitej o niego asteroidzie. Skały wyglądały jak podświetlone, co mogło być związane z drobinkami lodu na ich powierzchni i obecnością refleksyjnych związków chemicznych, odbijających promienie słoneczne. Mongolia znajdowała się daleko od równika, stąd szerokość niebiańskiego pasa była znaczna; gdyby dziewczyna wylądowała w Afryce,

obserwowałaby cienki, świetlisty półokrąg, nie mniej widowiskowy. Jeszcze jeden ewenement przykuł jej uwagę: drobny, punktowy rozbłysk na Księżycu, który trwał w najlepsze. Nie wyglądało to na kolizję z jakimś ciałem niebieskim, a prędkiej wybuch wulkanu. Oznaczało to, że w górnej kredzie ziemski satelita wciąż był aktywny sejsmicznie, jak przypuszczano.

Alicja dla bezpieczeństwa pogasiła lampki konsoli, zresztą Księżyc robił za ich ekwiwalent. Od gruntu poniżej oddzielała ją długość furgonetki. Porastały go kożuchy wypukłych wysepek ciemnego mchu, możliwe, że pokrywał głązy. Na oświetlonym srebrzystym blaskiem płaskim terenie, z widocznymi tarczowymi wzniesieniami na horyzoncie, królował pierwotny las kredowy, w tym sporo gatunków drzew iglastych. Wiele roślin miało korony wysoko ponad *Archimedesem*. Dziewczyna widziała nawet trzony grzybów dochodzące do kilkunastu metrów! Rozpoznała pierwsze żywe skamieliny: araukarie, zastrzaliny, miłorzęby, sagowce i benetyty, także paprocie drzewiaste.

- A mówiono, że część z tego wyginęła w tym okresie.

Przez otwór wpadało ciepłe powietrze, a razem z nim ostrzegająco-godowa kakofonia pochodząca z gardeł wielu niebezpiecznych stworzeń. Cykanie, brzęczenie, skrzeczenie, dudnienie. Dżungla dosłownie huczała od życia. A Alicja naprawdę mogła to wszystko obserwować na żywo! Chciała zapisać ze szczęścia.

Z grani powyżej zsunął się na wypukłość kabiny wuj długości ludzkiej ręki. Miał trudności z utrzymaniem się na gładkiej powierzchni, skutkiem czego zleciał na mech i nie zaznawszy szkód, zniknął szybko w zaroślach. Dziewczyna się obawiała, że potencjalnie jadowite – albo zwyczajnie głodne – paskudztwo wlezie do *Archimedes*a przez dziurę.

Fascynację przerwał tubalny, basowy, przeciągły ryk, który musiał wydobyć się z ogromnego, dobrze umięśnionego gardła, oraz zapewne przejść przez otwory pneumatycznej

czaszki... Dziewczynę zmroziło. Po raz pierwszy w życiu zbudził się w niej animalny strach, cecha niestety przypisywana ofiarom. Rzecz nie do pomyślenia w świecie, gdzie człowiekowi nie zagrażał żaden drapieżnik. Ale tutaj, pozbawiony sprzętu, był niczym mały, nic nieznaczący wij, mogący co najwyżej uciec w krzaki.

Powietrze rzeczywiście okazało się niezdatne do oddychania na dłuższą metę. Alicja nauczyła się żyć w zanieczyszczonym środowisku, co było dla niej całkowicie normalne. Wydawać się mogło, że w nieskażonym ludzką działalnością mezozoiku powietrze będzie niesłychanie czyste, zdrowe i rześkie, zbawienny raj dla wyeksploatowanych płuc. A jednak nie. Pomijając kwestię składu powietrza, stosunkowo niewielki gradient temperaturowy między biegunami cieplej, kredowej planety sprawiał, że cyrkulacja wód morskich i oceanicznych była słaba, co przekładało się także na marne natlenienie atmosferyczne. Do tego dochodziły wciąż wysoka aktywność wulkaniczna, spowodowana aktywnością płyt tektonicznych, wysokie lokalne temperatury oraz wilgotność powietrza. Ten zbiór niekorzystnych parametrów sprawiał, że mimo bujnej roślinności dziewczynie od pierwszych chwil obecności w nowym-starym świecie oddychało się fatalnie, jakby i jej płuca wmurowało w skałę. Czuła mdłości, do czego przyczyniało się bogactwo intensywnych, obcych woni, może też i toksycznych pyłków. Zaczynało kręcić jej się w głowie, a spędziła tu ledwo dziesięć minut!

Ewolucyjnie zdecydowanie to nie były jej czasy.

Sięgnęła po aparat oddechowy, skonstruowany na wzór urządzeń pilotów odrzutowców, ale nie znalazła go na swoim miejscu. Pamiętała dokładnie, że w chwili startu tkwił przyczepiony do ścianki kabiny obok jej głowy. Zresztą technicy sprawdzali wszystko wiele razy. Odpięła pasy i poleciała na miejsce styku obudowy kabiny z osłoną, do kolekcji na szczęście nie dołączyło kolejne pęknięcie naruszonej konstrukcji.

Zaniepokojona dostrzegła swój aparat niedługo potem, nadaremno przeszukawszyabinę. Leżał wśród roślin nieopodal miejsca upadku wija. Na moment zasłonił go gigantyczny cień – przed Księżycem śmignął wielki gad latający; czarna sylwetka kształtem przypominała pterozaura. Dziewczyna słyszała leniwy trzepot skórzastych skrzydeł, coraz cichszy w miarę, gdy stwór się oddalał.

Spojrzała na zegarek nadgarstkowy, gdzie w chwili przybycia do kredy aktywował się licznik. Do powrotu do instytutu pozostały dwadzieścia trzy godziny i trzydzieści dziewięć minut. Zgodnie z wyliczeniami opartymi na wcześniejszych wyprawach i wykopaliskach geologicznych oraz paleontologicznych, dorosły człowiek zdolny był oddychać kredowym powietrzem około ośmiu godzin. Diagnoza wykazała, że pozycie *Archimedes*a pozostało nienaruszone. Jeśli w istocie tak było, wystarczy, że Alicja odzyska zgubę, wróci do wehikułu, zatka czymś dziurę i przeczeka w najgorszym wypadku z aparatem na twarzy niecałą dobę, w ciszy i nieruchomo, najlepiej się przy tym nie pocąc. Czy kredowe stwory miały dobry węch, można było określić jedynie po znalezionych szczątkach i ekstrapolując to na współczesne organizmy. Chociaż teraz dziewczyna powinna rzec: na te z dalekiej przyszłości.

Liny, a tym bardziej drabiny, nie uwzględniono w wyposażeniu *Archimedes*a. Pozostawało wyjście przez dziurę, szybkie zabranie aparatu, wspięcie się na powrót po nierównościach ściany skalnej, a także liczenie na to, że wszelkie drapieżniki z okolicy są już po kolacji. Księżyc niestety szczególnie mocno oświetlał rudy kruszec, który zdawał się emanować czerwienią niczym sygnalizator. W dodatku strój Alicji był w większości kontrastowo niebieski.

Do kabiny wpadł wielki jak bochen chleba, brzęczący chrząszcz, którego w pierwszej chwili dziewczyna wzięła za brązowy głąz oderwany wyżej od skały. Rozpoznała w owadzie któregoś z przedstawicieli rodziny *Mesocinetidae*. Kiedy

spoczął na pulpicie, chwyciła go za połyskujący, owłosiony panczyk, tak aby jego żuwaczki i pokryte szczecina oraz kolanami nogi znajdowały się jak najdalej od jej dłoni. Już chciała wywalić go z rozmachem na zewnątrz, ale się wstrzymała. Licząc, że owad nie zdąży odlecieć, upuściła go przez dziurę. Chrząszcz jednak nie zechciał współpracować przy sprawdzaniu, czy mech pod wehikułem porasta skały – rozłożył twarde pokrywy i odleciał na błoniastych skrzydłach niczym biedronka.

Dziewczyna westchnęła, ale zaraz się uśmiechnęła pogodnie. Przynajmniej zaliczyła pierwszy organoleptyczny kontakt z istotą sprzed sześćdziesięciu sześciu milionów lat!

Jeszcze raz otaksowała najbliższe otoczenie, znacznie przysłonięte drzewami. Z większych stworzeń dostrzegła żaby na brzegu sadzawki, które w wersji mezozoicznej miały rozmiary kilkukilogramowego psa i bardziej przypominały rozdęte ropuchy. Nie pamiętała, czy mają uzębienie; wykopaliska nie były w stanie dostarczyć informacji odnośnie do ewentualnej toksyczności ich ciał, bo nie zachowały się żadne gruczoły jadowe. Alicja rozważała, czy nie skoczyć od razu do wody, ale takie środowisko zapewne było zamieszkałe przez coś wielkiego, co na pewno miało duże zęby. Przyroda nie lubiła ekologicznej pustki.

Uchyliła pokrywę schowka obok kolana, następnie założyła na biodra wyjęty pas z kaburą i wsunęła do niej thundera, którego według Igora miała nigdy nie używać. Wyglądał jak prosty pistolet typu glock z wygodnym uchwytem, tyle że zamiast magazynka znajdował się tam generator na odnawiającą się amunicję energetyczną. Dziewczyna włożyła też do kieszeni na zamek błyskawiczny wodoszczelny translator.

Miała wątpliwości co do skoku. Jeśli nie zaatakuje jej jakieś monstrum, mogła zawsze skręcić, a nawet złamać nogę. Cztery metry to nie przelewki na poziomie zeskokienia z kilku schodów. Na dobitkę pod wehikułem pojawiły się brunatne

salamandry, także w wersji XXL, przypominające spłaszczone młode krokodyle. Zupełnie jakby sam Bóg odnalazł ją w przeszłości – co dla niego akurat nie było żadnym wyzwaniem – i dawał jej znaki, że wychodzenie poza kabinę to jednak kiepski pomysł.

Krótko po tym, jak salamandry zniknęły z widoku, Alicja ujrzała pierwsze dinozaury. Cieszyła się jak nieme dziecko.

Była to para gadów dwunożnych pokryta na grzbietach, łopatkach i końcówce ogonów piórami, chyba niebiesko-czerwonego koloru – jasność Księżyca przebijającego się przez drzewa okazała się zadowalająca dla rozróżnienia kształtów, ale zbyt słaba na określanie barw. Dziewczyna oszacowała długość dinozaurów na około trzy kroki, perspektywa uniemożliwiała jednak zrobienie tego z wysokością, ale wydawało się, że mogły sięgać jej łbami do ud. Wyglądały na tsaagany, drapieźniki, które gdyby żyły w czasach ludzi, jadłyby to samo, co kuny czy lisy. Niewykluczone, że przyszły zapolować na salamandry.

Niestety gady zainteresowały się ślącym refleksy metalowo-gumowym aparatem oddechowym. Stały nad nim, gapiły się nań i porozumiewały się ze sobą cichymi klekotami, przypominającymi filmowego predatora. Jeden z tsaaganów zaczął potrącać przedmiot pyskiem, po każdym razie cofając łeb osadzony na długiej szyi, co przywodziło skojarzenie z ptactwem dziobiącym ziarno.

– Nie, nie, nie, nie... – kwiliła Alicja w kabinie, zaciskając dłonie; cały zachwyty dinozaurami momentalnie wyparował.

Odetchnęła z ulgą, gdy tsaagany zaczęły się oddalać. Ten który pukał w urządzenie, gwałtownie jednak zawrócił, chwycił zębami za rurkę i zniknął razem z nim w chaszczach niczym złodziejska sroka. Drugi gad zdawał się zaskoczony, ale szybko rzucił się w pogoń za szczwanym towarzyszem, skrzeczając z niezadowolaniem.

- Ahhhhhh! - Dziewczyna uderzyła pięścią w panel sterowania. Zbyt długo zwlekała z decyzją i spotkała ją za to kara. W mezozoiku tak się nie robi.

Ostatecznie zdecydowała się zejść po skale na ziemię. Wydostała się dziurą na wierzch osłony i sunąc po jej powierzchni na swym antypoślizgowym kombinezonie niczym po kruchym lodzie, znalazła się przy ścianie.

W połowie schodzenia natrafiła dłonią na kamień, który się poluzował, straciła zaczepność i spadła z dwóch metrów. Poza obiciem siedzenia nic sobie nie zrobiła. Ból obolałych od amortyzacji nóg szybko zaczął przechodzić. Okazało się, że mech porastał zmurszałe drewno, lecz nadal twarde.

Modliła się, by tsaagany znudziły się skradzionym aparatem i nie odeszły z nim daleko. Obszar nad wilgotną ściółką stanowił królestwo wielkich, gęstych liści, nie mogło się więc obejść bez latarki. Kombinezon Alicji wyposażono w dwa zintegrowane z nim ledy na barkach. Włączyła ten po prawej z nadzieją, że wybudzące zarośla uchronią ją przed wzrokiem czegoś znacznie większego od tsaaganów. Niestety nic nie mogła poradzić na robactwo zwalające się ku niej niczym ćmy: od tego pałętającego się pod butami, po objające się o nią sepulki, wyglądające jak krzyżówka muchy, motyla i ważki.

Dżungłę ponownie przeszył tubalny ryk, wzmocniony przez otwory kości czaszki. Tym razem nie brzmiał jak obwieszczenie władcy lasu o swojej obecności, ale niby zawodzenie spłoszonego, spanikowanego zwierza. Ziemia zaczęła drgać, o pnie objajał się ogromny ciężar, który sunął przez dżungłę niczym taran.

Alicja zamarła, gdy wbrew nadziei, że monstrum przebiegnie bokiem, zaczęło gnać prosto w jej stronę. Szybko się ogarnęła i rejterowała ucieczką na złamanie karku, ale niewiele mogła zdziałać na swych maleńkich w tym świecie nogach.

Dostała się na bardziej otwartą przestrzeni, lepiej oświetloną przez Księżyc.

Wkrótce przebiegł koło niej potężny czworonożny zaurolof, roślinożerny gad kaczodzioby z niewielkim kostnym wyrostkiem na tyłach łba. Jego ruchy były wolniejsze niż ludzkie, ale nadrabiał to długimi krokami. Wytrącił dziewczynę z równowagi machnięciem kilkumetrowego ogona.

Przez zaliczeniem gleby zamortyzował ją gnijący pień, który rozpadł się na wilgotne drzazgi i kolejne pokłady robactwa. Było go tam tyle, ile w scenie z *Króla lwa*, kiedy Timon uniósł korę i po raz pierwszy zaprezentował Simbie stołówkę. Alicja nie zwracała jednak uwagi na chodzące po niej pasudztwo, spoglądając szeroko otwartymi oczami na bydlę, które właśnie ją wyminęło. Wyglądało dokładnie tak samo, jak zrekonstruowały je najnowocześniejsze algorytmy, ćwicząc wprzód odtwarzanie organizmów na podstawie szkieletów zwierząt z dwudziestego pierwszego wieku. Jedyne umaszczenie się nie zgadzało. Zaurolof miał ciemne, faliste wzory od pyska po koniec ogona, które sięgały do poziomu łopatek. Jakby górę gada ktoś oblał wiadrami smoły. Niżej widniały plamki, a na łapach – paski przypominające te u okapi, tyle że miały kształt litery C, nie obejmując w obwodzie całych kończyn. Zakończenia palców bardziej przypominały racice niż pazury.

Ruch na piersi i ramionach wyrwał Alicję z letargu fascynacji. Wstała, jęknęła i zaczęła się otrzępywać energicznie ze stawonogów, łając się w myślach, że nawet na sekundę nie powinna tracić czujności. Miała szczęście, że nie wylądowała w pokrytym rzesą wodną bagienku obok.

Przez dżunglę przedzierało się coś jeszcze, znacznie drobniejszego, roztrzucając energicznie niższe partie roślin.

– Błagam, oby to były młode podążające za matką – szepnęła. Wyłączyła światło i znieruchomiła, zmagając się z obrzydzeniem, gdy tłuste, białe larwy pęłzały po jej butach, a kilka zaczęło wspinać się na nogi. Przebiegła jej przez głowę absurdalna, rozbrajająca myśl, że Timon z Pumbą trafiliby do

raju, gdyby naprawdę istnieli i cofnięto ich w czasie zamiast niej. Choć bardziej prawdopodobne, że to oni stanowiliby raj dla czyjegoś brzucha.

Nadciągającego scenariusza Alicja nie ćwiczyła nawet w ekstremalnych symulacjach w INT.

Za spłoszonym zaurolofem nie podążały młode, w co usilnie chciała wierzyć – a wataha drapieźnych gadów.

Stojącą nieruchomo jak pień, starającą się nawet nie oddychać Leszczyńską wyminął pierwszy pędzący, dwunożny osobnik. Miał ponad dwa metry długości, a łbem sięgał jej do szyi. Na opierzonym ciele widniały ciągnące się wzdłuż ciemne pręgi, trochę jak u warchlaka. Gdy zwierzę zahukało gardłowo, dało się dostrzec dziesiątki spłaszczonych ząbków różnej długości. Spośród czterech palców tylnej łapy jeden był sierpowato zakrzywiony. Dinozaur musiał być teropodem, tylko którym, myślała gorączkowo Alicja. Przypominał zauornitoida, jednak znacznie przewyższał wzrostem osobniki, których szczątki dotąd znaleziono. W dodatku gady polowały na wielkiego zaurolofa, a podobno miały łapać drobne zwierzęta. Więc albo źle określiła gatunek, albo wiedzę zdobytą dzięki wykopaliskom ludzkość mogła sobie schować głęboko.

Następny gad przystanął i po strusiemu skierował łeb osadzony na długiej szyi w jej stronę. Dziewczynę zmroziło, gdy ujrziała parę wypukłych ślepi o ognistych tęczęwkach i rozszerzonych źrenicach. To, że dinozaury nie zwracają uwagi na nieruchomy cel, także okazało się bzdurą, choć obecność nietypowego intruza mogły zdradzić nieswoisty zapach czy świecenie ciała (każdy organizm promieniował, ale w przyrodzie rzadko które oko potrafiło to wychwycić). Faktem było natomiast, iż – niech będzie – zauornitoidy świetnie widziały nocą. Miała nadzieję, że świeżo nabytą wiedzę zdoła komuś przekazać.

W polu widzenia znalazły się dwa kolejne osobniki, które także uznały zaurolofa za mniej atrakcyjnego od stworzenia

dostrzeżonego przez towarzysza. Teraz w stronę Alicji skierowane były trzy trójkątne pyski. Chociaż mimikę zauornitoidy miały zerową, zupełnie jak jaszczurki, obracały łby ku sobie, co mogło być oznaką zdziwienia bądź dezorientacji. Ruszały przednimi, podkulonymi kończynami, kiwały ogonami.

Jeden z nich, mający rozszarpane i zablźnione brzydko nozdrze, wykonał kilka spokojnych kroków. Przystanął w odległości dalekiego splunięcia od Alicji. Zaskrzeczał, otwierając pysk, w którym w jasnym świetle Księżycy błysnęła ponad setka zębów; zadrgał język przypominający zmutowanego pomrowa.

Do stada dołączył przewodnik.

Sparaliżowana strachem Alicja przypomniała sobie, że ma przecież w kieszeni translator. Wątpiła, czy okaże się pomocny, ale nic innego nie wymyśliła. Gadów było za dużo i stały zbyt blisko niej, aby je wszystkie wystrzelać. Zapewne skończyłoby się to draśnięciem jednego, kiedy reszta by ją zaatakowała.

Spośród liści po jej prawej stronie wyłonił się piąty osobnik, którego w ogóle nie słyszała. Tak skradać się mogli jedynie perfekcyjni zabójcy.

Drżącą ręką sięgnęła do kieszeni. Gad, który zawrócił od zaurolofa, pochylił łeb, tworząc nim linię razem z grzbietem oraz ogonem, i zaczął syczeć trochę jak wkurzony łabędź.

Nie spuszczać oczu z jego ślepi (a może właśnie nie powinna w nie spoglądać?), powoli wyjechała urządzenie. Potrzebowała teraz próbki dźwięku, by dało się dopasować komunikację pod odpowiednie zwierzę. W tym przynajmniej dopisało jej szczęście, bo ciągle stojące zauornitoidy, zapewne gdybające, czy jest niebezpieczna, zaczęły się komunikować ze sobą klekotaniem, fukaniem i skrzeczeniem. W rogu zapaliła się niebieska diodka, co zwiastowało możliwość „rozmowy”.

Oznaczało to, że translator był w stanie ekstrapolować swój zasób danych, nabytych dzięki gadom, ptakom i płazom

z dwudziestego pierwszego wieku, także na dinozaury! Ale czy to rzeczywiście zadziała?

Pamiętając doskonale instrukcję Kariny, że powinna przemawiać do zwierząt ich językiem, Alicja powiedziała pierwsze, co jej przyszło na myśl:

- Jestem niebezpieczna! Odejdźcie! Ja zagrożenie! Zginiecie, jeśli mnie zaatakujecie! - rzekła do translatora.

Słabi udają silnych, a silni słabych, wykwitło jej w myślach. W takiej oto chwili doskonale rozumiała taktykę antylopy, celowo wykonującej wysokie podskoki na sawannie, aby zaprezentować przed łowcą ukrytym w trawie, że jest mocniejsza i sprawniejsza niż w rzeczywistości.

Translator sam wybrał gamę dźwięków w odpowiedzi, o brzmieniu i tonacji, w jakich komunikowały się zaurornitoidy.

Czyli to rzeczywiście działało na prehistoryczne gady, będące w końcu powiązane ewolucyjnie z tymi z dwudziestego pierwszego wieku. Najwyraźniej założenie jednego z naukowców z Mongolskiego Uniwersytetu Przyrodniczego, że wszystkie organizmy pokrewne w historii Ziemi porozumiewały się tak samo, na tych samych zasadach (zwierzęta nie mogły wykształcić zaawansowanych języków, różnych w poszczególnych regionach), okazało się prawdziwe. W skrócie jaszczurka wzięta z Europy dogadałaby się z tą afrykańską, a gdyby obie cofnąć w czasie, porozumiałyby się z jaszczurkami z tamtego okresu.

Alicja nie czuła jednak z tego powodu ekscytacji, której zapewne by doświadczyła, siedząc we wnętrzu całego, bezpiecznego *Archimedes*a.

Cokolwiek translator przekazał drapieżnikom, spowodowało, że dinozaur z rozszarpanym nozdrzem, zapewne przywódca grupy, ożywił się i ruszył z miejsca. Podszedł do struchlałej Leszczyńskiej i dziabnął ją boleśnie w rękę, wystrzeliwszy naprzód łeb. Nie skaleczył jej, ale porwał materiał

kombinezonu na przedramieniu i na pewno nabił tam porządných siniaków. I to byłoby tyle, jeśli chodzi o odporność stroju w kontakcie z zębami dinozaurów. Zaprojektowano go z myślą o wygodzie i ergonomii, nie do tarzania się w błocie i przedzierania przez chaszczę.

- Żarcie? - przetłumaczyło urządzenie gardłowy klekot gada stojącego z tyłu.

Może translator coś jednak nachrzanił!, pomyślała Alicja z desperacją. Dźwięki wydawane przez sceptycznie nastawione zaurornitoidy, niewierzące w propagandę podróżniczki w czasie, mogły stanowić zaczątki mowy, bo rozgorzała prawdziwa debata:

- Żarcie?

- Żarcie! - zagrzemiał lider, cofając się kilka kroków.

- Żarcie?

- Nie żarcie?

- Na pewno?

- Nie łowca?

- Dziwny! Może zagrożenie!

- Nie ucieka. Słaby ucieka, ten stoi.

- Oczy z przodu jak my, dwie łapy. Obcy łowca!

- Nie wiemy!

- Nie widziałem takiej skóry.

- Trzyma czarny kamień, co mówi.

- Żarcie! - huknął ostatecznie przywódca, zwrócony pyskiem ku towarzyszom. Uciąwszy ich kakofonię, ponownie skierował zimne oblicze na dziewczynę. - Głupia ofiara. Nasza ziemia.

Pojęła, iż nie zdoła już zatrzymać tego drapieżnego perpetuum mobile. Pozostało jej tylko jedno.

Jak skamieniałą lewą ręką wsunęła wyłączony translator do kieszeni, co gad bacznie obserwował, a prawą wyjęła z kabury thundera, dumna z siebie, że w ogóle zdołała wykonać tę czynność w świecie niebędącym bezpieczną symulacją.

Przypuszczając, że to kolejny niegroźny przedmiot „niełowcy”, zauornitoid nie zareagował nerwowo.

Alicja skierowała nań wylot lufy i sięgnęła palcem wskazującym spustu.

Nacisnęła go.

Nie miała prawa spudłować, celując z trzech metrów w wielki, nieruchomy obiekt.

Broń energetyczna nie powodowała odrzutu, przez rękę przeszła jedynie drobna wibracja. Strzał także nie spowodował hałasu, ale doszło do wyładowania jak w elektrycznym pastuchu, gdy na drut włazi ślimak chcący dobrać się w ogrodzie do sałaty.

Moc natomiast była przeogromna. Nic dziwnego, że pistolet mianowano thunderem.

Z lufy wyleciał błękitny okrąg światła. Rozszerzył się po zetknięciu z dinozaurem, przeszedł przez jego ciało, odrzucając je ku stadu zauornitoidów. Te odskoczyły zaskoczone.

W powietrzu rozeszła się nieprzyjemna woń przypalonych piór i skóry. Dymiący gad, z szeroko otwartym pyskiem i wykręconą ku grzbietowi szyją, leżał na ziemi martwy.

Oszołomienie zauornitoidów trwało ledwie moment. Skierowały jednocześnie łby, niczym skręcające synchronicznie ptaki w murmuracyjnym locie, na zabójczynię ich przywódcy, częstując ją groźnymi, lodowatymi spojrzeniami.

Stało się odwrotnie, niż dziewczyna zakładała, myśląc o wilkach czy innych stadnych drapieżnikach ze swoich czasów – że zauornitoidy pierzchną w popłochu, przerażone potęgą techniczną człowieka i zniechęcone atakiem po stracie lidera.

Jeden z nich syknął ostrzegawczo, otwierając pysk; mogła to być też zapowiedź ataku.

Alicja nie zdołała tego ustalić, bo gdy chciała strzelić ponownie, skoczył na nią z boku przyczajony w krzakach dinozaur, o którym kompletnie zapomniała. Impet uderzenia

w połączeniu z kilkudziesięciokilogramową masą wytrąciły ją z równowagi.

Zaskoczona wpadła razem z gadem do bagna, thunder wyleciał jej z ręki. Nie miała czasu go szukać, bo zachęczone atakiem kompana zaurornitoidy zaczęły się pochylać, wiercić, hukać i poruszać ogonami.

Zrzuciwszy z siebie z piskiem kotłującego się dinozaura, Alicja zaczęła biec w głąb mokradła. Przynajmniej próbowała, zanurzona po pas w czarnej brei.

Gady nie skoczyły za nią w pościg, ale zniknęły ręczo w zaroślach, zamierzając obiec zbiornik dookoła. O ich obecności w gąszczu świadczyły jedynie potrząsane gałęzie i liście.

Dziewczyna wnet zrozumiała sens ich taktyki – z poharatanego korzeniami drzew namorzynowych brzegu, ku któremu chciała się skierować, zaczął zsuwać się do cieczy kilkunastometrowy aligator. Szybko zniknął pod ciemną powierzchnią, nawet jej nie mącąc.

Czując się, jakby cała była jednym walącym szalenie sercem, ruszyła desperacko w innym kierunku. Bagno nie okazało się rozległe ani głębokie, przynajmniej boczna zatoczka, w której teraz brnęła. Niebawem błoto zaczęło opływać jej kolana, wkrótce biegła w cmokających kałużach sięgających kostek.

Zagęszczenie drzew po tej stronie brzegu zmalało. Dało się zauważyć przebłyśki różowożółtej jutrzenki na wschodzie; Księżyc wciąż wisiał, przez co zrobiło się widniej.

Zaurornitoidy nie odpuściły. Okrążywszy po łuku mokradło, zaczęły zmierzać jego brzegiem ku dziewczynie, która przez kilka oddechów naiwnie myślała z ulgą, że wyszła cało z tej okropnej przygody. Jako że teropody ciągle znajdowały się daleko, puściła się sprintem przez przeredzony las, ale o znacznie wyższych drzewach szepionych grubymi lianami, z których zwisały firany roślinności przypominającej wodorosty. Dziesiątki gatunków owadów hałasowało tak bardzo, że

zagłuszały fukania dinozaurów.

Alicja biegła przed siebie, pokonując z trudem powalone pnie o obwodach kolektorów zasilających w wodę milionowe miasta, roztrącała wielkie liście, wpadała czasem po kolana w rozmiękłą glebę. Zauważyła drzewa różniące się od reszty teksturą i szorstkością kory, które... w dodatku się poruszyły! Mózg dziewczyny rozpoznał, czym one są, ale jej rozpędzone ciało nie zdołało w porę przystopować, co skończyło się krak-są ze słoniową nogą dinozaura o skórze mającej odcienie lasu.

Na szczęście gigant okazał się roślinożernym zauropodem nemegtozaurem. Stał dotąd nieruchomo i żerował w koronie drzewa, niczym żyrafa, wykorzystując do tego kilkumetrową szyję. Na widok Alicji jedynie cofnął nogę i zaburczał basowo, jakby się zirytował owadem, po czym postawił gigantyczną stopę w innym miejscu, by wrócić leniwie do pochłaniania liści.

Leszczyńska straciła cenne sekundy.

Zauornitoidy nie odpuszczały. Pognały za nią niczym naprowadzane na cel rakiety, ignorując zauropoda śledzącego pościg z lekkim zaciekawieniem, mielącego szczękami pokarm. Nie przypominało to klasycznego polowania na ofiarę, ale objaw bardziej złożonego, inteligentnego zachowania – zemstę za zabicie kompana.

Zauornitoidy okazały się znacznie szybsze od człowieka, działały ponadto na znanym sobie terenie. Odchodząca od zmysłów Alicja, którą piekły już płuca zarówno od runmageddonu, jak i z powodu coraz bardziej dającego się jej się we znaki toksycznego powietrza, odnosiła wrażenie, że gady nie wkładają większych sił w gonitwę, ale okrutnie się z nią bawią. Zamierzają najpierw zagonić zaszczutą ofiarę w kozi róg, a potem rozszarpać.

Sama im się podłożyła, przewracając się z osłabienia na prostym terenie. Kręciło jej się w głowie od chwili opuszczenia

*Archimedes*a, wysiłek i duże zapotrzebowanie na dogodne powietrze przechyliły znacznie szalę na jej niekorzyść.

Chwilowo pociemniało jej przed oczami, na widoku ostały się jedynie liczne niebieskie plamy, wirujące niczym pierwotniaki po wpuszczeniu ich do toksycznej wody. Dźwięk dochodził do uszu zniekształcony, jakby i ona znalazła się pod powierzchnią.

Ciężko dysząc, przekręciła się na plecy, podkuliła przy piersi ręce. Słońce zaczynało już wschodzić, zalewając przerzedzony las krwawą poświatą, kojarzącą się Alicji z falą pożarową po upadłej asteroidzie, która zniszczy niebawem ten okrutny świat. „Pierścień Saturna” na niebie przywodził na myśl odłamki skał wchodzące w atmosferę. Jednak zgodnie z zapewnieniami naukowców do najsłynniejszej w dziejach Ziemi katastrofy pozostało jeszcze dwadzieścia lat. *Archimedes*a cofnięto w czasie najbliższej tego momentu spośród wszystkich wysłanych do kredy obiektów.

Zaurornitoidy dotarły do celu, przystały obok nóg Alicji. Jeden dziabnął ją za but, powodując ból, ale nie przebił zębiskami tworzywa sztucznego ani skóry. Dziewczyna walnęła go w łeb drugą nogą, przez co odskoczył z sykiem. Kolejny dinozaur podszedł naokoło i szarpnął ją boleśnie za rozpuszczone, roztrzepane włosy. Zaplątały mu się w zębach, przez co przeciągnął kawałek Alicję po ziemi, nim się oswobodził. Następny zaurornitoid poprawił wcześniejsze ukąszenie na jej przedramieniu. Zaszlochała z przerażenia, niemocy i bólu; tym razem na rękę pojawiła się krew.

Choć nie miała prawa znać zwyczajów tych teropodów, instynkt jej podpowiadał, iż skończy jak schwytana przez hieny zdobycz – z tą różnicą, że będzie umierać w straszliwych mękach znacznie dłużej.

Nawet w najgorszych koszmarach nie śniło jej się, że umrze rozerwana na strzępy przez dinozaury. W tym brutalnym, pierwotnym świecie to one miały bowiem władzę nad

człowiekiem, a nie odwrotnie. Były na swoim miejscu, we własnym, prawowitym królestwie.

Naćpana adrenaliną wstała gwałtownie, aby choć jeszcze trochę powalczyć. Znów pociemniało jej przed oczami. Poczowała ucisk, jakby jeden z gadów siedział jej na piersi, blokując dostęp powietrza. Paroksyzm szybko jednak minął, zamaskowany hormonami stresu. Chwyciła leżący obok drąg i próbowała odganiać nim zaurornitoidy niczym wymachiwanym oburącz kijem baseballowym. Stworzenia sprawnie unikały uderzeń dzięki ręczności smukłych ciał, ale nie uciekały. Któryś co rusz starał się podejść Alicję od tyłu i skoczyć jej na plecy. Jednemu się to udało. Znów szarpnięto ją za włosy, co tym razem spowodowały zakrzywione pazury przedniej kończyny.

Krew huczała jej w uszach. Tłukące serca zdawały się intensywnie pracować w różnych częściach ciała, zwłaszcza w głowie. Alicja mogłaby przysiąc, że podłoże wibruje. Pozostawiła kij w prawej ręce, by drugą wyjąć z kieszeni translator, którego omal nie upuściła.

- Moja krew i mięso są toksyczne! - krzyczała łamiącym się głosem, wybrawszy komunikację głosową ze zwierzęciem z ostatniej sesji. - Zdechniecie w męczarniach, jeśli mnie zjecie! A nawet jakbyście przeżyli, wszyscy niebawem zginiecie, bo takich jak ja przybędzie tu więcej! Nie bądźcie więc nierozsądni, nie wolno wam mnie ruszać!

Zaurornitoidy zdawały się słuchać przez chwilę z niewielkim zaciekawieniem. Przekrzywiły po ptasiemu łby, co w innych okolicznościach wyglądałoby nawet zabawnie, ale nic nie odparły, za wyjątkiem tego, który ugryzł but:

- Akurat - zaskrzeczał w odpowiedzi.

Nie były głupie. Alicja dała już popis swoich możliwości, zwłaszcza uciekaniem sprowadzając się do roli ofiary. Niczym niezwykłym nie było w przyrodzie to, że zagoniona, doprowadzona do skrajności zdobycz zaczynała fukać.

Zaurornitoid „od buta” wyrwał pyskiem drąg skupionej na translatorze Leszczyńskiej, a sąsiad natychmiast skoczył na jej tors, przewracając dziewczynę na ziemię. I tak bolące płuca zapiekły ją żywym ogniem, gdy przygniótł jej klatkę piersiową. Wydała z siebie przeciągły jęk, który zakończył się szlochem.

Dobierającego się zębiskami do kombinezonu gada nagle ścięło z łap. Dosłownie przeleciał na bok, jakby trafiła go kula armatnia.

Reszta stada obróciła się w jednym kierunku, momentalnie straciła rezon, stała się nerwowa.

Alicja podparła się rękoma i uniosła do pozycji półsiedzącej, z niedowierzaniem spoglądając w stronę przeciwną niż gady.

Zaurornitoid, który lada chwila przedarłby się przez materiał do jej klatki piersiowej, leżał na piachu. Martwy. Z jego ciała sterczał drewniany pal grubości tych używanych przy ogrodzeniach w pradawnych osadach, przebiwszy go na wyłot.

Co tu się właśnie odważyło?!

Oszołomiona dziewczyna myślała, że nic dziwniejszego, trudniejszego do zrozumienia jej w życiu nie spotka, zwłaszcza że to miało się zaraz skończyć. Ale wtedy potoczyła spojrzeniem za jednym z zaurornitoidów, który odważył się ruszyć do ataku, i ujrzała tarbozaura. Jednak nie zwykłego tarbozaura, których szkielety można było podziwiać w muzeach – ale wyprostowanego niemalże jak człowiek. Z przednimi kończynami długimi niczym u terizinozaura, a nie krótkimi dwupalczastymi znanymi z paleontologii. Uściślając, każda miała aż cztery palce, w tym jeden przeciwstawny jak człowiek!

Jednak nawet te anomalie nie zszokowały Alicji najbardziej, ale fakt, że azjatycki król prehistorycznych drapieźników lądowych miał na sobie... metalową zbroję!

W łapach natomiast dzierżył coś w rodzaju kuszoprocy – drewnianą tubę pochodzącą z wydrążonego w środku pnia. Na jej biegunie, po obu stronach, były doczepione potężne kołki zewnętrzne, solidnie przewiązane paskiem skóry o szerokości ponad metra. Ogromny dinozaur miał też przewieszony przez tors pasek z doczepionym koszem, gdzie znajdowało się kilka naostrzonych pocisków. Wyjął kolejny, wsunął go do tuby zaopatrzonej w muszkę, przechylił nawet gigantyczny łeb, by ślepiem znaleźć się na linii strzału. Naciągnął skórę pełniącą rolę cięciwy, cofając płaski koniec pała i wystrzelił go. A wszystko to zrobił tak szybko, że zaurornitoid nie zdążył się do niego zbliżyć.

Widząc, co przed chwilą stało się z jego kamratem, inteligentny gad nie dał się trafić, choć odskoczył od lecącego pała w ostatniej chwili. Drewno tym razem zaryło w glebę i sterczało pod ostrym kątem.

Cokolwiek zaurornitoid zamierzał osiągnąć, nie dopiął swego. Tarbozaur, straciwszy pole operacyjne, zamachnął się bowiem ogonem, który okazał się uzbrojony w dwie pary metalowych kolców niczym u stegozaura i zdzielił nimi napastnika.

Silnie ranny zaurornitoid, krwawiąc, odkuśtykał i ulotnił się w lesie. Dla drapieżnika, ogólnie każdego dzikiego zwierzęcia, oznaczało to raczej wyrok śmierci. Towarzysze ze stada stracili wcześniejszy zapał i spoglądając na tarbozaura z mieszaniną nienawiści, strachu i uległości, też zniknęli z widoku.

Dziewczyna złapała się na tym, że tę niesamowitą scenkę oglądała z wybałuszonymi oczami i otwartymi ustami. Sparaliżowana strachem nie była w stanie się poruszyć, gdy gigant, wywołując lekkie drżenie ziemi przy każdym stawianym kroku, ostrożnie zmierzał w jej stronę. Majestatu dodawało mu jeszcze półkole czerwonego słońca wylaniające się zza poszarpanych wzniesień, strzegących krańca lasu.

Szokujących wrażeń nastąpił ciąg dalszy.

Tarbozaur – o ile dobrze określiła jego rodzaj – okazał się znacznie większy, kiedy przystanął blisko niej. Był wręcz ogromny. Wysoki na ponad sześć metrów, nawet siedem, i długi na kilkanaście. Ogon miał nieproporcjonalnie mniejszy w stosunku do reszty ciała, co znacznie odbiegało od ogonów, które Alicja widziała u szkieletów i na wirtualnych rekonstrukcjach. Jakby stopniowo zanikał w miarę przyjmowania przez dinozaura bardziej wyprostowanej pozycji. Pod tym względem wyglądał jak na ilustracji okładkowej Zdenka Buriana z książki *Zanim pojawił się człowiek*, przedstawiającej niemalże pionowego, i z krótkim ogonem, *Tarbosaurus baatar*.

Pomarańczowe ślepia olbrzymia wydawały się rozumne niczym u człowieka. Miały nawet podobną, okrągłą źrenicę, wychwytyjącą w gasnącym półmroku maksimum światła.

Zadzierająca głowę Alicja gapiła się na tarbozaura przerażona, i zdumiona, a on gapił się na nią, nie mniej zdezorientowany.

Przynajmniej mogła jeszcze lepiej mu się przyjrzeć. Liczne elementy zbroi o odcieniu srebrnobłękitnym wykonano solidnie, jakby wyszła ona z kuźni dla gigantów. Łeb od czubka paszczy aż po ślepia dinozaur miał odsłonięty. Hełm zaczynał się na kości nosowej i chronił tył czaszki; przy karku sterczały wypustki przypominające irokeza albo przyciętą grzywę sportowego konia, uwiązaną w bańki. Metalowe płytki pokrywały też grzbiet i ogon, zwieńczony pierścieniem ze śmiercionośnymi kolcami, które dziewczyna miała już okazję zobaczyć w akcji. Wielką pierś chronił napierśnik, przednie łapy – naramienniki i karwasze. Biodra i uda od zewnątrz także miały zapewnioną ochronę; na tych ostatnich sterczały kolce, grubsze i krótsze niż ogonowe. Natomiast podgardle, brzuch i większość kończyn tarbozaura pancerz nie pokrywał. Dzięki temu dziewczyna była w stanie określić barwę majestatycznego stworzenia – od brązowej na łbie, i zapewne wzdłuż

grzbietu oraz boków, po piaskową na nieodsloniętych odcinkach.

Zdziwiony dinozaur wyraził jeszcze większe zaskoczenie, szeroko otwierając ślepia i trochę paszczę, gdy w dłoni tajemniczego, małego stworka dostrzegł translator. Trzymająca go kurczowo dziewczyna stale spoglądała na bestię, nie mogąc oderwać od niej wzroku, zwłaszcza od tylnych łap o ptasim układzie palców trzy plus jeden, i pazurów długich jak jej ręka. Gdyby tarbozaur zdecydował się wykonać jeszcze jeden długi krok, zgniótlby ją na placek. Czuła się przy nim tak przerażająco malutka i bezbronna.

- Ja znam ten kamień! - wypłynęły słowa z translatora po tym, jak dinozaur wydał z siebie serię bełkotliwych, basowych dźwięków. Każdy z nich był inny, schematem strasznie przypominały ludzki język. Nie mogło jednak być mowy o płynności, gdy w grę wchodziła tak ogromna paszcza pozbawiona policzków. Ale fakt faktem, że tarbozaur o nietypowej budowie nie tylko nosił zbroję, ale i potrafił posługiwać się zaawansowaną gammą dźwięków!

- Znasz go? - odparła odruchowo zdumiona. Tłumacz natychmiast przetłumaczył to na język dinozaura.

- Tak. Mamy taki sam.

- Taki sam? - Rozmowa się nie kleiła. Nabuzowana emocjami Alicja nie potrafiła myśleć logicznie.

Tarbozaur nie odpowiedział. Przykucnął, przygotowując tkwiącą nieruchomo dziewczynę, jakby miała przed sobą wkurzoną kobrę, o jeszcze szybsze bicie serca, i tak będącego na wysokich obrotach. Zsunął z siebie pas z koszem, odłożył tubę miotającą. Leszczyńska wstrzymała oddech, gdy przysunął do niej wielki łeb i zaczął ją obwąchiwać, poruszając parą nozdrzy; do każdego z nich swobodnie dałoby się włożyć pięść i zostałyby jeszcze sporo miejsca.

- Krew - przetłumaczył translator.

Alicja westchnęła przerażona, gdy gad uchylił szczęki,

prezentując spiczaste zęby długości dłoni i podobny do ludzkiego jęzor, na tyle duży, że można by go wykorzystać jako koldrę. Wysunął go i polizal wilgotnym, ciepłym czubkiem jej zranioną rękę, gdzie zgromadziło się sporo skrzepniętej krwi. Wyglądało to strasznie. Dinozaurowi nie cuchnęło z paszczy, jak można by się tego spodziewać, czuć było prędzej nieprzyjemną woń niby u człowieka, który od kilku godzin nie mył zębów.

Ślepia gada ze spokojnych, rozumnych stały się na niepokojącą chwilę bardziej szkliste, dzikie.

Oj, niedobrze, pomyślała Alicja.

Odsunął łeb i namyślając się, wpatrywał się moment w ranę, potem wysunął pazurzystą łapę i objął dziewczynę w talię grubymi palcami, by unieść wysoko podczas wstawania. Trzymał ją delikatnie, ale stanowczo. Przeszedł kawałek do sadzawki, gdzie, spłoszywszy małe zelestydy – roślinożerne ssaki w lokalnej wersji podobne do zmutowanych świstaków – przykucnął i zanurzył Alicję w krystalicznie czystej, chłodnej wodzie. Zabrał się za zmywanie nieczystości, sprawnie używając do tego palców drugiej łapy, szczególnie skupiał się na niekrwawiącej już ranie. Opłukany kombinezon znów nabral intensywnych, błękitno-czarnych barw.

Jednak dinozaur bynajmniej nie przemył Leszczyńskiej, aby zapewnić jej komfort. Jego ślepia, w których próżno teraz było szukać inteligencji, ponownie zaczęły przypominać rekinie.

Wyprostował się, unosząc Alicję na wysokość pierwszego piętra. Przysunął ją sobie pod nozdrza i znów się w nią wpatrywał z niepokojącym spokojem, zmagając się ze sprzecznymi myślami. Cokolwiek roило się w jego łbie, zakończyło się bardzo niekorzystną dla dziewczyny decyzją, bo tarbozaur ponownie uchylił paszczę, tym razem szerzej. Jakby zamierzał na próbę posmakować zdobyczy poprzez odgryzienie jej głowy.

- Błagam, nie zjadaj mnie! - wypaliła, naciskając rozczapierzoną dłoń na dwa śliskie siekacze bestii. W drugiej przez cały czas ścisnęła włączony translator.

